№ 5. Wilno, dnia 22 lutego 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Jak kochać Ojczyznę?

Jak kochać Ojczyznę,
To kochać serdecznie,
Kochać całem sercem
A kochać ją wiecznie.

Jak kochać Ojczyznę,
To nad wszystko w świecie,
I dla niej pracować,
Wszak to wszyscy wiecie.

Jak kochać Ojczyznę,
To kochać poczciwie,
I uczyć się pilnie,
I żyć sprawiedliwie.

Jak kochać Ojczyznę,
To więcej niż siebie,
I modlić się za nią,
Do Królowej w niebie.

I prosić, by było,
Jak dawniej bywało.
Tak kochać Ojczyznę
Jej dzieciom przystało.

Jadwiga Strokowa.

MARJA REUTTÓWNA.

Anielka.

(Ciąg dalszy).

Noc był głęboka, w starym dworze wszystko spało, gdy nagle stróż domu, biały ogromny Łapa, podniósł się od ganku, przy którym sypiał zwykle, wyciągnął głowę, rozdął nozdrza i warknął. Czuł obcego.—Zdaleka, w ciszy nocnej rozległ się dzwonek i głuchy turkot. Ktoś jechał. Łapa warknął raz, drugi i z głośnem ujadaniem, rzucił się ku bramie. Za chwilę zaroiło się na podwórzu, dwa wozy wjechały, a na nich pełno ludzi w mundurach, płaszczach z bagnetami w ręku.

W oknach domu zajaśniały światła, na ganek oficyny wypadł pan Tomasz, wybiegło kilku parobków.

Wozy zajeżdżały wprost przed dwór, wysiedli z niego żandarmi i policjanci rosyjscy. „Biały dziadek" przetarł oczy. Byłaż by to senna mara? Przypomniały mu się dawne czasy, ale wtedy było co innego. On i przyjaciel jego pan Kaliński, poszli obaj w bój święty, za wolność Polski. Wyszli stąd, z Połuknia. Cóż więc dziwnego, że podczas powstania styczniowego, nieraz tu tacy goście zaglądali. Przyjeżdżali jeszcze i potem nieraz, robili rewizje, szukali, ale napróżno, nikogo znaleźć nie mogli. Młody dziedzic Połuknia zginął w boju, w puszczy Rudnickiej i tam przez braci powstańców został pochowany. Pan Tomasz ranny, wzięty do niewoli, długie lata spędził na Syberji. W domu opustoszałym, żyła tylko samotnie młoda wówczas p. Kalińska. Przewracano jej cały dom nie jeden raz do góry nogami. Ciągano ją do Trok i do Wilna.

Tak było za dawnych lat. — Ale czegóż teraz znowu przychodzą? Kogo z nich uwięzić chcą?

Takie myśli przeleciały przez głowę p. Szukszty. Szybko, zanim tamci zdołali zastukać do drzwi, stanął przed nimi i spokojnie, twardym głosem, zapytał: jaki interes ich tu sprowadza?

— Proszę nam otworzyć drzwi—odpowiedział starszy żandarm — my tu do was panie Szukszta za interesem.

— W takim razie, proszę panów do mnie — rzekł pan Tomasz, wskazując na oficynę, — zechcą tylko panowie —

dodał bardzo uprzejmie — nie czynić żadnego hałasu, by nie budzić śpiących pań.

— A myż właśnie do pań i mamy interes — odparł żandarm — trudno, musimy je obudzić — i zwrócił się do głównych drzwi.

Pan Tomasz, mocno zdziwiony, zastukał do drzwi i polecił wystraszonej Kasi, by poszła obudzić dziedziczkę. W tejże jednak chwili, we drzwiach od pokoju, stanęła p. Kalińska. Była, jak zawsze, bardzo spokojną.

— Co za sprawa sprowadza panów o tej porze do mnie — rzekła, wprowadzając nieproszonych gości do pokoju.

— A wot — mówił wciąż po rosyjsku żandarm — u was tu jest niejaka Aniela Zaniewska.

— Tak — odrzekła już bardzo zdumiona pani Kalińska — bawi u mnie ta mała dziewczynka.

— Tak my do niej przyjechali, my mamy u niej zrobić rewizję.

— U Anielki? — zawołał pan Szukszta — u dziecka?

— Taki rozkaz — brzmiała odpowiedź.

Pani Kalińska wyjść ze zdumienia nie mogła. Co oni chcą od Anielki? Próbowała jeszcze wytłumaczyć żandarmowi, że zaszła jakaś pomyłka, ale gdy ten w sposób szorstki zażądał, by go zaprowadziła do pokoju dziewczynki, musiała ustąpić.

Prosiła tylko, by zaczekał, aż obudzi Anielkę i ubierze ją.

— Byle prędzej i nic chować nie wolno.

Za chwilę Anielka stanęła przed rosyjskim żandarmem. Babcia szepnęła jej cichutko, by była spokojną i broń Boże nie płakała.

c. d. n.



Dlaczego Orzeł Biały jest znakiem Polski i Polaków?

Takie pytanie przesłał do Gwiazdki, jeden z jej czytelników. Przypuszczając, że może i wiele innych dzieci tego nie wie, dajemy wyjaśnienie.

Działo się to bardzo, a bardzo dawno. Obliczyć już tego dokładnie niepodobna, tak to było dawno. Kraj nasz wówczas innym był zupełnie, niż obecnie. Nie było wcale miast i wiosek, ludzi było bardzo mało, a żyli w szałasach, które sobie budowali z gałęzi leśnych, w norach i jaskiniach. Pól nikt nie uprawiał. Wszędzie, gdzieś okiem rzucił, były czarne i nieprzebyte puszcze.

W nich zwierza różnego moc. Wody też było bardzo wiele i rzek, i jezior, i strumieni, a w nich pluskały się różne ryby.

Aż pewnego dnia, w ciemnej puszczy rozległy się śpiewy ludzkie, grania rogów myśliwskich, gwar i nawoływania. Szli jacyś obcy i nieznani ludzie.

Spora ich była gromada. Silni, krzepcy, jak dęby, smukli, jak jodły. Oczy mieli niebieskie i długie, jasne, jak dojrzała pszenica włosy. Przez plecy przewieszone mieli łuki i kołczany ze strzałami, a w ręku duże, grube pałki.

Wiódł ich starszy, którego Lechem zwali, a słuchali jako swego wodza — bo siłę i rozum miał. Doszli do wysokiej góry i weszli na nią. I tu rosły drzewa wysokie

Lech spojrzał w dół i widział śliczne rzeki i jeziora, widział ryby pluskające się w wodzie. I łąki piękne, zieloną trawą porosłe.

W puszczy kwitły lipy, a dookoła nich krążyły pszczoły, miód słodki z kwiecia ciągnąc

— Piękny to kraj — rzekł Lech — i ziemia zda się bogatą jest.

W tejże chwili zaszumiało coś u góry, załopotały skrzydła i stado orłów białych, poczęło krążyć ponad głową Lecha.

— Znak bogi dały — zawołali starzy, co szli z Lechem i wróżbitami byli. — To szczęścia i chwały znak!

— Ostańmy więc tu — rzekł Lech — tu rozbijemy namioty i na tej górze postawimy gród. Nazwiemy go Gnieznem. (W dawnej mowie, znaczyło to gniazdo). Skoro zaś orły białe nas powitały, to odtąd godłem naszem, czyli znakiem, będzie Orzeł Biały.

I tak uczynili. Tu był początek Polski, która dawniej od imienia swego pierwszego księcia, zwała się Lechją. Gniezno, pierwsza stolica nasza, leży w Wielkopolsce, którą, jako najdawniejszą dzielnicę Polski, zwą jej Macierzą, to jest matką. A Orzeł biały na czerwonem polu, jest po wszystkie wieki i czasy godłem Polski i Polaków.

J. BOGUSZ.

Mysikrólik i Strzyżyk.

Dokończenie.

— Wybrać króla? a toż orzeł jest ptasim monarchą— zaświergotał, zaciekawiony mysikrólik.

— Tak, ale wtedy jeszcze nim nie był — opowiadał strzyżyk.—Zebrało się ptactwa moc. Zleciało się naszego narodu ze wszystkich części świata. Długo radzono, kogo by wybrać na króla. Jedni chcieli puhacza, drudzy zamorską papugę. Paw dowodził, że on królem być winien, bo takiego ogona, jak on, to nikt nie ma Struś z pustyni, chwalił się swemi pióry, słowik — śpiewem. Aż w końcu uradzono wybrać tego, kto najwyżej wzniesie się w górę.

— O, to już ty bratku, królem byś nie mógł zostać— zaśmiał się mysikrólik.

Strzyżyk tym razem nie zagniewał się i mówił dalej.— Zaczęły się więc ptasie wyścigi i zaraz się okazało, że orzeł najwyżej leci. Wzbił się tak wysoko, że aż zginął

kędyś w górze. Wtem widzi ponad sobą, jakiś punkcik malutki. Był to najmniejszy z ptaszków, twój jakiś przodek. Zechciało się maleństwu królem ptasim zostać. Usiadł na grzbiecie orła i gdy ten wzbił się w górę, twój pradziadek poderwał się i ponad nim począł krążyć. Zdumiały się wszystkie ptaki, temu zuchwalstwu. A orzeł spuściwszy się na ziemię, zażądał sądu nad oszustem. Ten zaś, jak gdyby nic, usiadł w pobliżu na gałązce i zaśpiewał swoje: *czyk, czyk,* to znaczy: jestem. Sąd ptasi skazał go jednogłośnie na śmierć. Rzucił się na skazańca krogulec z krzywym dziobem, ale tamten jak w ziemię wpadł. Szukały go wszystkie ptaki napróżno. Dopiero wszędobylska sikorka wyśledziła, że wpadł do mysiej jamki. Dostać się tam, żaden ptak nie mógł. Obsiadło więc ptactwo szparkę dookoła i czekało, aż się on stamtąd wysunie. Nie doczekano się, a że trzeba było śpieszyć na zebranie, na którem miano orła koronować, więc posadzono na straży, przy mysiej jamie—sowę i pozwolono jej za to schrupać zuchwalca.



Mysikrólik.

Poleciały ptaki na koronację, a na straży została sowa. Ale ta zazwyczaj w dzień sypia, więc się zdrzemnęła i teraz, a twój pradziadek cichutko wysunął się z norki i frr—prościutko na koronację.

— Czyk, czyk — zawołał, zjawiając się tam. A wszystkie ptaki w śmiech, że on pewno chce być koronowanym, ale się trochę spóźnił, bo już orzeł dostał koronę. A nowo wybrany król powiedział, że swe panowanie rozpoczyna od przebaczenia uraz i darował winę malcowi. Na pamiątkę zaś, że się do mysiej norki schował, nazwano go mysikrólikiem.

— Czy to od sroki plotkarki, dowiedziałeś się tej historji? — zaświergotał mysikrólik — mówiłeś, że ona plotki roznosi.

— Wcale nie od sroki, tylko od ludzi—odpowiedział strzyżyk, słyszałem, jak to kiedyś, chodząc po lesie, opowiadali sobie.

Mysikrólik machnął skrzydełkami. — Widocznie — zaświergotał — ludzie jeszcze więcej od srok plotkują. Powiem ci inną opowieść o mym prapradziadku, którą my, mysikróliki jedni drugim opowiadamy.

— Słucham, słucham — zaśpiewał strzyżyk.

— Otóż było to bardzo, bardzo dawno. Straszna była zima. Mróz i zawieja bez końca. Nie było nic do jedzenia. Najwytrwalsze ptaki poradzić sobie nie mogły. Wróble i sikory padały zmarznięte, jak muchy. Zdawało się, że wszystkie ptactwo wymarznie, wtedy malutki ptaszek odważył się na wielki czyn. Postanowił przebić się przez śniegowe chmury, dolecieć do słońca i prosić, by zesłało na ziemię swe promienie, ogrzało wszystko dookoła i wygnało okrutną zimę. Nic nikomu nie mówiąc, rozwinął skrzydełka i poleciał w górę. Dosięgnął pierwszych promieni słońca i prosił je o ciepło dla ziemi, o życie dla braci ptaków. Słońce wysłuchało prośbę ptaszka i posłało promienie swe na ziemię. Odżyło wszystko.—Tak, to malutki mój prapradziadek uratował od zagłady nie tylko ptaki, ale i różne zwierzęta i rośliny. Ptaki przezwały go wtedy mysikrólikiem, a że promień słońca wypalił mu na główce złotą plamkę, którą odtąd wszyscy mamy, nazwano też nas Złotogłówkami.

— To naprawdę piękna opowieść — rzekł strzyżyk — dzielne i dobre serce musiał mieć ten mysikrólik i ja cię bardzo przepraszam za moje dąsy.

— A ja się wcale na ciebie nie gniewam — odrzekł mysikrólik — i wiesz co? pora zjeść obiad, tu nic niema, lećmy razem, już ja wiem, gdzie jeszcze są jagody jałowcowe, a pod korą drzew, znajdziemy i lepsze przysmaki, bo jaja różnych owadów i motyli.

I wybrali się obaj w drogę. Mysikrólik leciał górą, a strzyżyk biegł dołem, czasem tylko podlatując trochę ponad ziemią. Tak jednak szybko przemykał się wśród krzewów leśnych, że gdy mysikrólik u góry zaśpiewał swoje: czyk, czyk, ten mu zaraz z dołu odpowiedział.

Zabrały się oba ptaki do uczty, a była ona obfitą,

doskonałe, mrożone jagody jałowcowe, smakowały obu. Potem zaczęto czyścić korę drzewną. Zapuszczali w nią swe ostre dzióbki i coraz to, któryś wydobywał jajeczko jakiegoś owada, uśpioną liszkę, lub coś podobnego. Pracowali w milczeniu.

— Czyk, czyk — zaświergotał w końcu mysikrólik — dość już mam tego jedzenia. Ludzie ani przypuszczają, ile my im dobrego robimy. I drzewom również — odrzekł strzyżyk — dzięki nam, niejedna wspaniała jodła, niejeden potężny dąb, będzie żył długie lata. Gdyby nie było tych malutkich ptaszków, mysikrólików i strzyżyków, na których nikt nie zwraca wielkiej uwagi, to jak by się tu rozpleniło wszelkiego rodzaju robactwo.

— Tak — świergotał, skacząc po gałęziach, mysikrólik — śliczne, zielone lasy, schłyby i ginęły, a człowiek, który się chełpi swą mądrością, nic by tu nie poradził. Ale ja przyznaję, że się cieszę, iż jestem takim malutkim ptaszkiem, którego mało kto dojrzy. Wierz mi strzyżyku, że lepiej nam żyć w ukryciu, niż naprzykład dużym gilom. Łapią je ludzie w sidła, pakują do klatek, trzymają w niewoli.

Strzyżyk kiwnął główką.—Słusznie mówisz — rzekł — niewola, to straszna rzecz dla wszystkich, a dla naszego rodu równa się śmierci. My weseli śpiewacy leśni, którzy na wolności, nawet w mrozy wielkie rozweselamy świat swym śpiewem, w klatce śpiewać nie możemy. — Mysikrólik, zarówno jak i strzyżyk w niewoli umiera prędko.

— To też, powtarzam — mówił mysikrólik — że szczęśliwy jestem żyjąc w ukryciu. Gdy minie zła zima, nastanie wiosna, w mojem gniazdku, uwitem z mchu i ukrytem w gąszczy leśnej, wśród mej malutkiej rodziny, szczęśliwszy jestem od niejednego potężnego króla.

I oba ptaszki już teraz bez kłótni, zaśpiewały na cały głos śliczną swą pieśń. Dziękowały Stwórcy za to, że im dał ciche, pracowite i pożyteczne życie.

KONIEC.

